Tom VII. Nr. 1.

1. Lipca 1862

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Grobowy krzyż.

W Białej, pół mili od Magierowa, wedle chaty Marcina Pawelca, zeszła się kupka ludzi, i rozmawiała cicho pomiędzy sobą. Co który nadszedł, wstąpił do otwartej chaty, a powróciwszy ztamtąd, przyłączał się do reszty przed chatą stojących, i kiwając głową zaczynał wraz z nimi gawędzić.

— I takci wam bez świętej spowiedzi umarł — prawi jeden — nie pamiętają nawet ludzie, aby ten człowiek kiedy się spowiadał.

— Bo też jego i w kościele mało kto nadybał — rzecze kościelny — a gdy się kiedy pokazał, to jak on pies nieprzymierzając, co wszystko obwącha, skręci ogonem i pójdzie.

— A czemuż żona nie posłała po księdza? — zapyta się Walek Krupa.

— A byłoż to kiedy posełać po księdza — odrzeknie jakiś chłop zamaszysty — kiedy on zapiwszy się, ledwie przylazł do chałupy, a już wódczysko zapaliło się w nim, i umarł straszną śmiercią, jakby nie człowiek. Zresztą może i był je-

szcze jaki ratunek dla niego, gdyby to żona była jak należy; lecz kiedy to oni nigdy ze sobą nie żyli w zgodzie.

— Alboż to nie wstyd ludzki — odezwie się stary Maciej Polowy — kiedy zaraz po jego śmierci baba wyniosła się z chałupy, i aż dopiero sąsiedzi pościągali się, umyli trupa, i własną starzyzną okryli grzeszne ciało, bo w chałupie nie było ani łacha, aby palec obwinąć, a ledwie kilka lat jest temu jak nieboszczyk był jeszcze zasobnym gospodarzem, a przez to pijaństwo styrał wszystko do nogi. Zrazu to go żona trochę wstrzymywała, ale gdy jej nieboszczyk nigdy dobrego nie dał słowa, ale za co bądź bił i katował, to się potem kobiecisko rozżaliło, a nakoniec tak rozpiło, że już ani myśleć o ratunku!

— Niech go tam Pan Bóg sądzi — zawoła kościelny — bo nam się nie godzi źle mówić o umarłych; ot lepiej niech mu każdy daruje urazy, i westchnie za duszę jego.

Jakoż wszyscy rzekłszy: — Niech mu Bóg tego nie pamięta — zaczęli się powoli rozchodzić do domów.

Byłem ja tam właśnie u mego krewnego, i przysłuchiwałem się z nim tej całej rozmowie. Więc gdy się zaczęli ludzie rozchodzić, poszedłem i ja odwiedzieć umarłego.

Na brudnym tapczanie stała trumna, czyli prędzej skrzynia zbita z czterech spruchniałych desek, a w niej leżał trup z siną twarzą, o nabrzmiałych oczach i z rozczochranym włosem, a jakąś starą płachtą okryty. Strasznie wyglądał on nieboszczyk, powiadam wam moi bracia, ażem się przeląkł zrazu, bo ani jednej żywej duszy nie było koło umarłego, ani świeczki, ani obrazka, tylko cztery gołe, okopcone ściany. To też pomodliwszy się za nieboszczyka, wyszedłem prędko od niego.

Niebawem nadszedł ksiądz, i pokropił ciało, a czterech chłopów zanieśli je niedaleko na cmentarz, pochowali i prosty drewniany krzyż postawili na grobie pijaka.

Tego samego dnia jeszcze wyjechałem, lecz w miesiąc jakoś wypadło mi znowu po interesie udać się do Białej.

Wieczorem, gdyśmy z moim krewnym siedzieli na przyzbie przed chatą, przechodzi koło nas sługa kościelny i zagada:

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków — odrzekliśmy prawie razem, a mój krewny doda jeszcze — a co mój kumie, nie wyrwało krzyża tej nocy?

— A już nie, dzięki Bogu — odpowiedział kościelny — a pożegnawszy nas, odszedł, bo mu gdzieś było pilno.

— O jakim to krzyżu mówiliście?—rzeknę ja do krewnego.

— Jakto!... więceście wy jeszcze nic o tem nie słyszeli?

— A nic — odpowiem.

— Aleście byli tu wtedy, gdy Marcina Pawelca chowali?

— No, i co z tego?

— Otóż posłuchajcie mój Jacenty, co się to dalej stało. Skoro nieboszczyka pochowali, przychodzi na drugi dzień kościelny na cmentarz, bo musiał tamtędy iść do swego pola, i patrzy, a tu na wczorajszym grobie nie ma krzyża, jeno gdzieś tam daleko na boku. Zdumiał się nie mało stary, bo wiedział dobrze, że krzyż był wsadzony w ziemię jak się należy; lecz nic nie mówiąc podniósł krzyż, i wkopał go na swoje miejsce. Ba, lecz przychodzi na drugi dzień, a tu krzyż znowu wyjęty, na trzeci to samo, jakby kto naumyślnie to czynił.

Zbiegła się więc na wieść o tem cała gromada na cmentarz, i nuż dziwować się i tłumaczyć, coby to oznaczało. Jedni obstawali przy tem, że to jest oczywista kara Boża, kiedy krzyż nie chce ostać się na grobie tego grzesznika, który nie wart, że go święta ziemia przyjęła; a drudzy mówili znowu, że to po prostu musi ktoś robić zbytki, i dlatego potrzeba zasiąść w nocy na cmentarzu, aby się o tem przekonać. I zaraz tej samej nocy kilku co odważniejszych chłopów z grobarzem ukryło się w krzakach niedaleko grobu Pawelca. Aliści w nocy naraz coś zaszumiało, silny wiater powstał, wszystkich tych czatujących jakby coś zaślepiło, i skoro tylko zaczęło świtać, znaleźli znowu krzyż leżący na ziemi. Tu już nie było innej rady, jeno pójść do księdza i jemu całą tę rzecz rozpowiedzieć.

Ksiądz wysłuchawszy wszystkiego uważnie, udał się z procesją na cmentarz, pokropił grób święconą wodą, modlił się, i sam na nowo krzyż zakopał do ziemi. Ale i to nie wiele pomogło, bo na drugi dzień krzyż znowu leżał wyrwany.

Tutaj krewniak mój przestał na chwilkę, a zapaliwszy lulkę tak mię zapyta:

— No i jak wam się widzi, mój Jacenty, coby to mogło być takiego?

— A któż tam może wiedzieć! Ja pierwszy raz słyszę o czemś podobnem!

— No to posłuchajcież dalej — odrzeknie, i mówi:

— Nasz ksiądz, co to jak wiecie niedawno u nas nastał, nie znał dobrze nieboszczyka, i dlatego zwołał kilku starszych z gromady do siebie i żądał, aby który, co znał dobrze zmarłego Marcina Pawelca, opowiedział mu życie jego, miarkując, że tym sposobem dowie się o przyczynie, czemu krzyż nie chce stać na grobie. Na drugi dzień więc zgłosił się mój sąsiad Wojciech, co najlepiej znał nieboszczyka i jął opowiadać, jako Marcin Pawelec był jedynym synem zasobnego gospodarza, i jako nie brakło mu za życia niczego, jeno chęci do pracy, od której go odwodziła karczma, gdzie nieraz i całe noce przesiadywał. I zdarzyło się, że razu pewnego zebrało się z Marcinem kilku młodych nicponiów, między którymi był też i Wojciech, a gdy sobie trochę podpili, odezwie się któryś: „Ano ktoby teraz poszedł sam jeden na cmentarz?“ a było to już koło północy. „Ja pierwszy!“ zawołał Marcin, i założył się o garniec okowity, że pójdzie na cmentarz, a na znak tego wyciągnie krzyż z którego grobu i przyniesie. Zgodzili się wszyscy, i nie wyszło i pół godziny, jużci Marcin był nazad z krzyżem, a stanąwszy w kąt go rzucił, który będąc już trochę spróchniały, rozpadł się na kilka kawałków. Od tego czasu Marcin coraz częściej się upijał, i wpędził rodziców ze zgryzoty do grobu, a zostawszy sam, ożenił się z bogatą, lecz leniwą dziewczyną. Z miesiąc może żyli jakoś po ludzku ze sobą, ale gdy nieboszczyk zapiwszy się, dziwa wyrabiał ze żoną, wtedy ona nie dochowywała mu wiary małżeńskiej, a zaglądając coraz częściej do kieliszka, powtarzała sobie: Dobry trunek na frasunek. Nie minęło i pięć lat, a jużci oboje całą ojcowiznę i miano styrali do ostatniej koszuli, a Marcin przesiadując cały dzień w karczmie, nie zaglądnał ani razu do kościoła, nie spowiadał się, i tak marnie życie zakończył.

Ksiądz chwilkę podumał, a potem odezwie się: „A nie wiecie Wojciechu, z któregoto grobu Marcin nieboszczyk wtenczas krzyż wyciągnął?“ Przypominał sobie Wojciech i przypomniał: a ksiądz rzekł wtedy, że może co temu zaradzi. Jakoż kazał co prędzej zrobić piękny krzyż drewniany, i — ot wczoraj właśnie poszliśmy na cmentarz. Wojciech pokazał grób, z którego nieboszczyk krzyż wyjął, a ksiądz kazał na to miejsce ów nowy krzyż postawić, poświęcił jeszcze raz grób Marcina, i kazał tam także jego wyrzucony krzyż zakopać, poczem pomodliwszy się, rozeszliśmy się do domu.

I oto już tej nocy, jak mówił kościelny, nie wyrzuciło krzyża z grobu.

— No no — odezwę się ja — ktoby się spodziewał, że za taki zbytek pan Bóg i po śmierci karać będzie.

— A kto to może wiedzieć — odpowie mój krewniak — czy to jeszcze i inna temu nie była przyczyna?...

Poszedłem potem na cmentarz, oglądnąłem obydwa groby, pomodliłem się za nieboszczyków, a powróciwszy do domu, rozpowiadałem w całej wsi o tem zdarzeniu. Miarkując zaś, że z życia tego nieboszczyka nie jedno można sobie wziąść za przestrogę, opisałem to i dla was bracia kochani.

Jacenty z Magierowa.

Modlitwa kmieci.

O! przenajświętszy Ojcze nasz na niebie,
Wesprzyj nas łaską swą w każdej potrzebie,
Bo w Tobie mają ufanie biedacy:
Błogosław pracy!

Odwracaj od nas Boże, głód straszliwy,
A urodzajem poszczęść nasze niwy,
Niechaj twój rolnik nie zazna niedoli,
Błogosław roli!

Nie karz nas Panie deszczami zbytniemi,
Ni zbytnim żarem nie wysuszaj ziemi,
Daj nam czas dobry i w zimie i w lecie,
Błogosław kmiecie!

Niech w naszych chatach mieszka święta zgoda,
Niech je omija ogień, zła przygoda,
A daj nam poznać pożytek oświaty,
Błogosław chaty!

Nie daj nam Panie upadku w oborze,
Niechaj zarazy omijają zboże,
A biednych ludzi omijają troski,
Błogosław wioski!

Tym, co nas często ratują w potrzebie,
Dobrym dziedzicom daj pomoc od siebie,
Zlej swą opiekę na łąki i bory,
Błogosław dwory!

Spraw Panie, byśmy kochali się wszyscy,
Bogaci, biedni, i wielcy i niscy,
Od nienawiści ochroń nas pobudek,
Błogosław ludek!

Niech każdy człowiek wielbi Imie Twoje,
Do łask nam swoich otwieraj podwoje!
Ty duszo moja od nocy do rana,
Błogosław Pana!

(*Z Kmiotka.*)

Co się to dwom pijakom stało.

Zdarza się, że i pan i sługa łykną sobie czasem, a potem pomięsza im się w głowie, iż żaden nie wie, kto rozkazuje, a kto służy. Ale żeby się pijanym tak znów pomąciło w mózgu, iżby dwóch samych siebie uważali za czterech chłopa, to już rzecz rzadka, a jednakże się tak stało — tylko posłuchajcie.

Był sobie jeden stary wojskowy pan, który prawie całe życie żołnierką się parał i majorstwa się dosłużył. Kiedy w starości z wojska odchodził i szedł żyć na łaskawym chlebie, wziął z sobą jednego wiarusa, który nie wiele co od niego był młodszy i zawsze razem z nim służył w wojsku, a jako człek i żołnierz prosty zawsze bywał u pana majora na posługi. Było temu słudze imię Maciej, z ojca się nazywał Pałasiński, a rodził się tam gdzieś niedaleko Warszawy. Do usługi był to jedyny człowiek, a pana majora kochał bardzo i wszystko by dla niego był zrobił. Jedną tylko miał wadę, ale tę miał też i pan major,

to jest, że lubili sobie łyknąć, i to dobrze. Z początku najczęściej się tak trafiało, że kiedy pan major sobie pociągnął, to i Maciej jakby na komendę tak samo pijany, aż się sprzykrzyło majorowi i powiedział do Macieja te słowa:

— Mój kochany, jeden z nas do kata musi być trzeźwy, więc kiedy się który chce upić, to niech drugiemu zawczasu o tem powie, żeby w takim przypadku ten drugi już tego dnia nie pił.

Zrazu szło to jako tako, aleć potem to przyszło do tego, że ten zawsze zapowiedział, kto się prędzej obudził, gdyż każdy radby był codzień sobie pozwolić, a między panem majorem a Maciejem nie było tam takiego wstydzenia się, jak zwykle między panem a sługą bywa, ale byli do siebie jakoś po starej znajomości z różnych wojen, które razem odbyli, bardzo śmiali.

Razu jednego i major i Maciej ogromnie jakoś dokazują po mieście i od samego poobiedzia ani zajrzą do domu, a właściwie trzebaby powiedzieć do izby, boć pan major jednę tylko izdebkę miał najętą i w niej razem z Maciejem mieszkał i sypiał sobie po wojskowemu.

Późno pod wieczór przyszedł pierwszy pan major do domu, a przekonawszy się, że Macieja jeszcze niema, namruczał się trochę na szelmę pijaka Macieja, że się włóczy do późna w noc, posługi z niego nie ma i pomyślał sobie, żeby to trzeba znowu on dawniejszy zwyczaj wznowić, aby każdy rano zapowiedział, kiedy myśli się upić. Przypomniało się jednak panu majorowi, że szelma Maciej zawsze bardzo rychło się budzi, więc też pierwszy zawsze zdąży zapowiedzieć: a tak major tylkoby na tem stracił, więc lepiej nie zapowiadać.

Tak sobie rzecz rozważywszy położył się pan major spać, ale tak mu się już porządnie pokręciło w głowie, że swoje łóżko ominął, a w maciejowe się położył i zasnął. Trzeba bowiem wiedzieć, że pan i sługa mieli łóżka przy jednej ścianie, jeno że głowy każdy w inną miał stronę.

Za jakie pół godziny przychodzi i Maciej, nadsłuchuje, nie słyszy jakoś pana, bo pan spi właśnie cichuteńko, maca po pańskiem łóżko — próżne; więc znów mruczeć sobie, że stary znów się skuje, a jutro będzie marudził; i tak powoli

położył się spać, nic nie czując, że tam już pan w jego łóżku leży sobie w nogach.

W nocy budzi się pan major i czuje coś obok siebie, maca i chwyta, a toć wyraźnie nogi i to nie małe, więc łaps za nie, boć oczywiście ktoś się do niego zakradł.

Na to budzi się znów Maciej, a czując, że go coś trzyma porządnie za nogi, łapie znowu koło siebie i chwyta także majora za nogi.

— A to jakaś bestyja — myśli sobie major — do mego łóżka się wewalił i jeszcze się na jakieś gwałty puszcza, i za nogi mię chwyta, a toć wyraźnie jakiś napad! — Więc trzyma coraz mocniej.

— Czekaj ptaszku — myśli sobie Maciej — już ja ciebie przed ranem nie puszczę, bo teraz nie chcę hałasu robić i starego budzić, ale mi ty tu nie ujdziesz, a rano to się rozmówimy inaczej! Choćbyś ty ściskał albo nie, to ja się ciebie nie zlęknę i na sucho mi się nie wykręcisz, jenom ciekawy bardzo, co też to za szelma jakaś, że tak się w cudze łóżko wewalił i teraz milczkiem człowieka dusić poczyna.

Więc tedy ścisnął Maciej majorowi nogi, jakby mu je w śruby wkręcił, a major znowu kop go pod brodę, aż Maćkowi zęby szczękły. Tedy Maciej znowu oddaje, a coraz to silniej majora za nogi trzyma.

— Maciek — zawołał major po niedługiej chwili — a toć wstań i zobacz, co tu za bestya jakaś do mnie w łóżko się wewaliła i do nóg mi się przypięła, że się nie mogę przewrócić. Wstawaj stary, bo mi się tego szelmy już i trzymać nie chce.

— Ba, wstawaj! kiedy i mnie tak samo za nogi ktoś trzyma, co się też i w moje łóżko wewalił — odpowiedział Maciej i nuż swojego kuć pięścią po nogach.

Pan major naturalnie zaraz na odwrót Macieja począł obrabiać kułakami i wołać:

— Wstawaj Maciek, bo mój mię na dobre bić poczyna.

— Mój też nie lepszy, proszę pana — odpowiedział Maciej.

— No, to schwyć twego porządnie i wyrzuć z łóżka pijaka, boć to z twojej winy złe tych szelmów tu nadało. Włóczysz się po nocy i Bóg wie, kto się za tobą przywlekł. No, więc ruchaj się opoju, przecież już musiałeś wytrzeźwieć łyktusie!

Tak zawołał pan major, więc Maciej silnie ścisnął nogi majora i nuż wyrzucać z łóżka owego szelmę jakiegoś, co to w nocy w cudze łóżko się wali. Ale major, kiedy poczuł, że go z łóżka jakoś wypychają od nóg, opierał się jak mógł, żeby się jeno nie dać wyrzucić, lecz przeciwnie, żeby wyrzucić owego szelmę, co we własnem łóżku człowieka napastuje i chce z niego wysadzić.

— No, Maciek ruchaj-że się! — zawołał major.

— Ale proszę pana, kiedy mię on też chce z łóżka wysadzić, a opiera się jak wół pod górę.

— Tak samo i mój na mnie się rzuca — powiedział major — ale już ja go wysadzę.

— Dam ja i memu radę — rzekł Maciej — ale już on rękę moją popamięta, póki życia jego.

Więc dopiero się poczęli szamotać a sapać, dopiero jeden nad drugiego się silili i odpierali, aż nareszcie buch! — leżą obaj na ziemi i trzymają się za nogi, a obkładają się pięściami, że to jakby cepami w stodole.

Na ten łoskot ludzie się w domu pobudzili i wchodzi gospodarz, u którego mieszkali, ze świecą w ręku i patrzy, a tu major z Maciejem za nogi się ściskają, a smarują sobie boki, że jeno stęka.

— A najsłodsze imię Jego! W imię Ojca i Syna — powiedział gospodarz. — Macieju, a któżby to na swego pana rękę podnosił?

Teraz dopiero pomiarkowali się owi, że ich tylko dwóch, a nie czterech. Więc się zawstydzili ogromnie, a pan major jakoś niebardzo mruczał, boć on oczywiście najbardziej pobłądził, że się w Macieja łóżko położył.

Poszedł więc każdy teraz w swoje łóżko i dospali do rana spokojnie, ale śmiechu było z tego na długo w całej oko-

licy, gdyż gospodarz tego dłużej niż do rana nie mógł też utrzymać u siebie.

Kieliszeczek jak słupeczek
Jedną nóżką stoi,
Ale szelma, człek go spełnia,
A on w oczach dwoi! *Prz. L*

Piękne przykłady.

List z Jasienicy, w którym jest opisanie Majówki.

Czytałem ci ja raz w Dzwonku, jak to się ślicznie odbył obżynek w Siedliszowicach, i bardzo mi się to podobało, bo się to przecie miło człekowi robi na sercu, jak przeczyta o dobrych i uczciwych ludziach i ich niewinnych rozrywkach.

Bo to już latania po karczmach i muzykach nie cierpię, gdyż tam ludzie tracą cnotę i Boga z serca. Chwała też Panu Jezusowi, że już te grania po karczmach ustają potrosze, a ludziska coraz jakoś stateczniejsi i lepsi. Tak i w naszej wsi Jasienicy, która do tego samego pana należy co i Siedliszowice, i gdzie to ten sam pan tak piękny obżynek sprawił ludziom, muzyki nie bywa, a pijaków coraz mniej. Trafi się tam jeszcze jaki silnie od szatana kuszony, co się tem pokusom oprzeć nie umie a może i nie chce, to też na tych twardych grzeszników aż wstręt bierze spojrzeć jak wracają po targu, a czasem nawet i w świętą niedzielę, z karczmy pijani jak nie boskie stworzenia. Ale przecie Bóg miłosierny, natchnie może i tych, że się upamiętają i poprawią, bo wielkie jest miłosierdzie Boże!

Zato mają tu czasami ludzie inne uciechy, o których chcę pisać, aby też i w innych wsiach nasi bracia po Bogu i wspólnej ojczyźnie co to Dzwonek czytują wiedzieli o tem, i takie sobie uciechy choć czasem sprawiali.

Trzeba wam wiedzieć naprzód moi mili, że mamy tu od lat blisko czterech szkółkę, do której coraz więcej dzieciaczków przybywa. Uczą się tam różnych pożytecznych rzeczy, tak, że jak czasem taki dzieciak zacznie co opowiadać, to z pisma świętego, to z dawnych dziejów, to aż się starsi ludzie zastanawiają. — Otóż to już jedna uciecha naszych uczciwych ludzi-

sków, że się ich dzieci nauczą chwalić Boga, i być później dobrymi gospodarzami i gospodyniami.

A teraz opiszę wam moi mili bracia uciechę, jaką mieliśmy w Zielone Świątki. Oto w pierwszy dzień świąt, po uroczystem nabożeństwie, zaprosili nasi szanowni kapłani i pan nauczyciel dziedzica i innych gości na egzamin mały do szkółki. Radość brała słuchać jak te dziecięta umiały pięknie odpowiadać. Potem śpiewały różne pieśni, nabożne i światowe, ale piękne i moralne.

Na końcu pan dziedzic ucieszony, że się wieśniacze dzieci dobrze sprawują i uczą, rozdał co pilniejszym piękne obrazki i każde z nich mile ugłaskał.

Po południu zaś, wszystkie dzieci szkolne i inne z rodzicami i krewnemi, z chorągwią szkolną i muzyką na czele, to jechali, to szli do pobliskiego lasku na zabawę zwaną majówką. Jechało także kilka bryczek państwa, których zaproszono na wspólną rozrywkę. Gdyśmy przyjechali do lasku, ksiądz katecheta z panem nauczycielem poustawiali dzieci rzędami, które zaśpiewawszy piosnkę o ślicznym maju, rozbiegły się jak ptaszki wolne po lesie.

Ludzie starsi, tak wsiowi, jak i księża i państwo poszli na przeznaczone miejsce do zabawy, i tam na pięknym trawniku pousiadali do posiłku. Poznosili też z bryczek kosze pełne różnych przysmaków, które ksiądz katecheta z panem nauczycielem rozdzielali pomiędzy swoich uczniów, panowie zaś i panie dzieliły się swoim kęskiem jak wystarczyło z innym ludem. Po posiłku zaczęły się dopiero uciechy! Ksiądz katecheta, choć to przecie duchowna osoba, sam się fatygował i zaprowadzał zabawę pomiędzy dziećmi. To też z niego jak i z pana nauczyciela aż pot ciekł, ale ich to cieszyło, że mogą ludziskom i gościom swoim sprawić uciechę.

Tak nam tam miło było bawić się razem i przypatrywać, że migiem wieczór się zaczął robić, więc znowu tym samym porządkiem, ze śpiewami i muzyką w ogromnej kompanji powracaliśmy do domu. Każdy był rad i wesół; a ja pomyślałem sobie: Mój Ty Boże święty! Jak też to miło niewinnym sposobem się rozerwać, bez pijatyki, bez obrazy Boskiej i bluź-

nierstwa, i państwo i wieśniacy razem jak dzieci jednego Ojca niebieskiego i jednej wspólnej matki Ojczyzny polskiej; O, co to za miły widok sercu! Zaraz wtedy przyszło mi na myśl, żeby to opisać do „Dzwonka“ aby też i gdzie indziej wiedzieli, jak to można ucieszyć się niewinnie a uczciwie.

A teraz Panu Bogu was oddaje kochani Bracia!

M. S.

RADY GOSPODARSKIE.

Sposób robienia miodu do picia.

Pan Ignacy Łyskowski w Mileszewach, zawołany gospodarz, wydał wyborną książkę gospodarską, a w tej książce podaje nam sposób robienia miodu do picia, który jak sam powiada, dostał od zakonnika polskiego, co to przez długie lata po dworach jeździł i miód robił.

Trzeba przyznać, że się w tych naszych złych czasach dosyć naprawiamy, albowiem chętnie powracamy do prostych prawych zwyczajów praojców naszych. A miód czy nie jest szczeropolski?

Dla tego też i miód trzeba wydobyć z zapomnienia, zwłaszcza że dobry, zdrowy i tani, a mianowicie jest to napój polski, który nasi pradziadowie pijali. Lepszy to nawet napój, jak kwaśne wina, a niezrównanie lepszy od tej przebrzydłej wódki, która niejednego poczciwego człeka przyprowadza do choroby i do ostatniej nędzy.

Pan Łyskowski powiada, że kiedy na Litwie lub Podolu przyjdziesz do uczciwego chłopa polskiego, to postawi przed tobą dzban miodu, a w jego pasiece znajdziesz kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt uli pszczół. Czemuż to nie jest w całej Polsce? czemu tak nie jest i u nas? Prawda, że już i u nas wracamy się do chodowania pszczół, już niejeden gospodarz ma ładną pasiekę, aleć to jeszcze daleko do tego, jak to dawniej bywało, gdzie prawie każdy gospodarz miał mnóstwo pszczół, i w zimie wieczorem przy kominie z przyjacielem lub miłym sąsiadem swój własny spijał miód. Teraz choć nie jeden ma

pszczoły i miód, to na to je ma, aby miód sprzedał, a nie pomyśli, żeby to także i miodu do picia sobie zrobić. Ja myślę, że dla tego nie robicie miodu do picia, bo go nie umiecie robić; a jak się go nauczycie robić, i jak zasmakujecie owego naszego miodu, to też myślę że i wszyscy nałogowcy nawet porzucą przebrzydłą wódkę, i wrócą się do staropolskiego napoju, co daj Boże jak najprędzej.

Owoż sposób robienia miodu jest następujący:

Na pewną ilość miodu bierze się tyle wody, ile próba pokaże przez wpuszczenie jaja surowego kurzego w tenże rozpuszczony płyn z wody i z miodu. Jeżeli jajo pływa tak, że tylko jak grajcar z wody wygląda, stosunek wody do miodu jest dobry. Woda musi być czysta, a przy rozpuszczaniu w niej miodu i zarazem przy powyższej próbie musi być tylko o tyle ciepła, aby miód się roztopił a nieczystości miodu na wierzch wypływały. Wszelka spływająca nieczystość zbiera się sitem, aż sam czysty płyn zostanie. Ten czysty płyn gotuj w kociołku przez kilka godzin, zbierając troskliwie wszelkie szumowiny za pomocą sita. Chcąc się przekonać, czy miód jest dogotowany, trzeba nieco ubrać z kotła w jakie naczynie, ostudzić i znowu w to puścić surowe jajo; jeżeli jajo teraz nieledwie na połowę z powierzchni wystaje, miód jest dogotowany. Ale godzinę przed tą próbą trzeba wziąść na beczkę miodu 2 funty dobrego i czystego chmielu, zawiązać we worku i razem gotować z miodem przez całą godzinę. Chcąc aby miód nabrał ciemniejszego koloru, rozpal kawał żelaza i zanurz je kilkakrotnie w miodzie.

Będzie i to dowodem, że miód dogotowany, jeżeli żelazo rozpalone po jednorazowem zatopieniu w miodzie zostaje czerwone. Im częściej zanurzysz w miodzie rozpalone żelazo, tem ciemniejszy będzie miód. Potem wylewa się wszystek płyn do kadzi i ostudza się do 18 stopni ciepła, to jest tak, aby był tylko o tyle ciepły, o ile jest ciepłą woda w bagnie wśród upału słonecznego.

Wtenczas weźmij do beczki miodu pół kwarty drożdży (czyli młodzi), wymieszaj dobrze z miodem, nakryj wszystko prześcieradłem i postaw w spokojnem miejscu.

Drożdże muszą być piwne, wierzchnie i świeże. Po kilku dniach, kiedy już miód się wyrobił, biorą się worki, uszyte z cienkiego płutna, łokieć długie a 6 cali w średnicy mające, i u wierzchu obrączką opatrzone, i opierając te worki na dwóch przymocowanych drążkach, wiesza się je, jeden przy drugim, nad inną czystą kadzią. Przez te worki przepuszcza się miód. Kadź musi być przy ścianie oparta i nachylona, aby miód można szklanką do kropli wybierać i zawsze napowrót w worki lać póki nie pójdzie zupełnie czyściutki. Jeżeli worki bardzo nieczystością zapchane, iż płynu nie przepuszczają, trzeba je przepłukać w wodzie i znowu ustawić. Chcąc mieć miód korzenny, gotuj trochę cynamonu, białego imbieru, anyżu gwiazdkowego (badjanu) i gwoździków — wszystkiego po trosze razem z miodem, ale osobno w woreczku.

W końcu dodaję, że w ciepłem miejscu wyrobi się miód w czterech dniach, w chłodnem miejscu musi dłużej robić.

Sz. Niedz.

RÓŻNOŚCI.

Nabożeństwo żałobne i pogrzebanie prochów Sobieskich, królewiczów polskich, w Żółkwi.

Kiedyśmy wam z końcem zimy wiele ciekawych rzeczy o mieście Żółkwi i jego panach, Żółkiewskim Stanisławie i królu Janie III. Sobieskim pisali, ani nam się śniło, abyśmy wam jeszcze tego roku coś osobliwego ztamtąd napisać mogli. Ale prawdą a Bogiem nie żal nam dzisiaj zachodu, bo chcielibyśmy opowiedzieć wam choć krótkiemi słowami o uroczystości, jaka się w mieście tem dnia 16go czerwca bieżącego roku odbyła.

Otóż znalazły się tam we farnym kościele, a to w kaplicy na lewo w podziemnym grobowcu trumny z prochami królewiczów Jakóba i Konstantego Sobieskich, synów sławnego króla Jana III., o których dotychczas tylko z posłuchu i z dawnych ksiąg wiedziano, że gdzieś pod kościołem leżą pogrzebane. Trumny te już bardzo stare były obite srebrnemi ćwiokami, i zawierały prócz prochów z ciał także nieco kości królewskich, zbutwiałe odzienie i puszkę ze sercem królewny Marji Karoliny, wnuczki króla Jana III., a córki królewicza Jakóba. jak to się o tem wszystkiem z napisów i według świadectwa ksiąg starych i ludzi uczonych dokumentnie przekonano. A skoro już na tem rzeczy stanęły, umy-

ślił zaraz ksiądz proboszcz tamtejszy i inni panowie sprawić im nowe trumienki, i po solennem nabożeństwie uczciwie pochować, jak przystało na dzieci tak wielkiego króla. Kazali tedy zrobić podwójne trumienki, z cynku jedne, a drugie dębowe: w pierwsze złożono prochy dostojnych nieboszczyków, razem dopiero z temi w dębowe zabiwszy. Skoro zaś to wszystko przygotowano, rozpisali po gazetach, ażeby każdy coby miał czas po temu przybył na dzień przeznaczony do Żółkwi i tam szczerze i i wspólnie z innymi Bogu się pomodlił i cześć swą oddał prochom synów króla polskiego. Jakoż zebrało się ze Lwowa i z okolicy Żółkwi kilka tysięcy ludzi różnych stanów, bo byli tam panowie, księża, mieszczanie, studenci i wieśniacy, a byli też i tacy co aż z Krakowa, Warszawy, Poznania i Kijowa poprzyjeżdżali. Przyszło też ze Lwowa bractwo od OO. Bernardynów z księdzem na czele, a obok księdza szedł pan siwiutki jak gołąbek z krzyżem pańskim, a za nim pan y i młodzieńce z żałobnemi chorągwiami. Naprzeciw nich wyszła procesja z Żółkwi i przywiodła ich aż do fary. Tam stał już przepyszny katafalk, jarzącemi, czarno ubranemi świecami i lampami obstawiony, a na nim dwie trumienki z cynku z prochami obu królewiczów i sercem królewny, ciało jej albowiem leży w Warszawie. Na trumienkach wypisane były ich cyfry, na wierzchu stała złota królewska korona, a z przodu wisiały na czterych czerwonych tarczach wymalowane herby dawnego naszego królestwa polskiego, to jest orły białe i pogonie. Takie same herby wisiały także i po bokach na ścianach świątyni. Był to widok wdzięczny i wzruszający: te herby naszych ojców, pomniki ich chwały i te prochy święte, które przed laty sto kilkadziesiąt równie nam czuły i Bogu się modliły, a teraz spoczywają w pokoju, dusze ich zaś gdzieś tam w górnych przybytkach wtorują do chóru aniołów śpiewając: Święty, święty, święty Pan Bóg zastępów! i proszą ojca niebieskiego o litość nad nami i nad biedną ziemią naszą.

Już od czwartej zrana czytano ciche msze święte w obu obrządkach, po przyjściu zaś procesji lwowskiej odbyła się najprzód solenna suma żałobna po rusku i parastas, a potem suma łacińska i rekwije. W czasie obu tych mszy śpiewano pięknie na chórze, a obok bramy miejskiej bito raz w raz z moździeży. Po sumie wystąpił ksiądz Wierzchowski proboszcz z Tartakowa z przecudnem kazaniem. Opowiedział nam najprzód w krótkości historję królewiczów i ojca a potem wzywał ich wszystkich, ażeby sława ich nie zginęła nigdy między nami, lecz aby szła z pokolenia w pokolenie, i abyśmy się Polacy i Rusini jako dzieci jednego Ojca w niebie, i jednej matki Ojczyzny kochali wspólnie i jedni drugim ustępywali, abyśmy też strzegli wszystkiego, co hańbić może święte imię Polaka, bo imię to szanowane było pomiędzy wszystkiemi narodami, kiedybyśmy je i wiary świętej od Turków i Tatarów bronili; bo kiedy żyć

będziemy po Bogu i kiedy dawna cnota polska odżyje, za pomocą bożą powrócą także dawne, dobre czasy.

Po tem kazaniu, które wszystkich do głębi serca wzruszyło, podnieśli z katafalku trumienki i wspólnie jak kto stał, panowie, mieszczanie i wieśniacy wnieśli je napowrót do grobowca, który zamurowano, a do którego też włożono opis dnia tego i uroczystości na pergaminie sporządzony, ku pamięci przyszłych pokoleń. Nakoniec śpiewali jeszcze wszyscy i modlili się gorąco do Boga, ażeby miał w pieczy naszą ojczyznę biedną.

Po hojnej składce na rzecz kościoła, sprzedawano srebrne medaliki wybite na pamiątki dnia tego z matką boską z jednej, a wyobrażeniami królewiczów z drugiej strony z ćwioków owych starych trumien. Za te pieniądze wystawiony będzie w kościele farnym przyzwoity nagrobek.

Z kościoła udała się część ludzi wraz z procesją ze Lwowa prostą drogą do domu, inni zaś, osobliwie ci co zdala przybyli, udali się albo do Czeremuszny lub też do Sopuszyna w pobliżu Żółkwi, gdzie panowie tamtejsi równie jak i mieszczanie Żółkiewscy gościnne stoły dla przybyłych zastawili. Z tamtąd już ruszał każdy w swoją stronę z głębokiem wrażeniem w duszy i tą pociechą w sumieniu, że po Bogu uczciwą cześć oddał zmarłym dziatkom jednego z największych królów naszych. I długo, długo potem widzieć mogłeś na drodze do Lwowa i Rawy wozy, karety i bryczki, jadące nieprzerwanym prawie ciągiem, i liczne zastępy pobożnych, pieszych pielgrzymów.

Kto tam był, nie pożałował pewnie zachodu, bo na całe życie będzie miał przed oczyma ten dzień uroczysty. Wy zaś bracia w dalszych stronach naszej ziemi, coście nie mogli brać udziału w tem święcie narodowem, pomódlcie się przynajmniej za dusze ich do Boga, a gdyby was Bóg kiedy do Żółkwi zaprowadził, to nie zapomnijcie wstąpić do fary i odwiedzić grobu ich. Bo wszakżeż wiadomo wam dobrze, że gdyby nie ich ojciec Jan III., król polski, to by tak Niemcy jako i my wszyscy w tureckiej dziś byli niewoli, i nie zasłyszelibiśmy może nigdy o świętej wierze ojców naszych.

M y ś l i.

W jednej parze chodzą z sobą chciwość i rozrzutność. I chciwiec umrze z głodu, że wcale nie użył, i rozrzutny, że nadto użył.

Złe imie jest to ciężar; łatwo go można podnieść, ciężko nosić, a pozbyć się go niepodobna.

Wydawca odpowiedzialny za redakcją: E. Winiarz